



Wojciech T. Pyszkowski

CIĄG DALSZY

Wojciech T. Pyszkowski

Ciąg dalszy

© Copyright by
Wojciech Pyszkowski & e-bookowo

Projekt okładki:
Anna Bugaj Janczarska

ISBN 978-83-7859-333-1

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2014

*Andrzejowi Janczewskiemu,
Autorowi „Obserwatora”.*

OD AUTORA

Niniejsza opowieść podejmuje wątek książki autorstwa Andrzeja Janczewskiego p.t. „Obserwator”, wydanej w wydawnictwie e-bookowo, w której jej bohaterowie, Sonia, Ivo i Olaf, zatrzymują się w dzikiej kotlinie. Ich udziałem stają się dziwne, trudne do przewidzenia wydarzenia, które zasadniczo wpływają na ich życie i sposób patrzenia na świat.

Jak potoczą się ich dalsze losy? Czy ponownie trafią do niesamowitej kotliny? Na ile są w stanie wpływać na swoją przyszłość? I w końcu, kto jest tajemniczym Obserwatorem?

Odpowiedź na to znajdą Państwo w tej opowieści.

Wojciech Pyszkowski

I

– Każdy z nas musi w końcu odejść na wieczny spoczynek. Bez względu na to, kim był i co w swoim życiu dokonał, musi swoje życie zakończyć i rozliczyć się ze swoich uczynków. Jest to jedyny pewnik naszej egzystencji. Rodzimy się z czystymi kartami swojej przyszłości i naszym zadaniem jest wypełnić je. Przecież po to nasz Stwórca dał nam wolną wolę. Niektórzy twierdzą, że nie wszystko zależy od nas, że nasza przyszłość jest już w jakiś sposób zaplanowana i że to ogranicza możliwości naszego wpływu na jej zmianę. W pewnym sensie mają rację, ale... nie można nie doceniać roli tak zwanego przypadku...

Ksiądz przerwał i potoczył wzrokiem po zebranych. Stali w skupieniu, wpatrzeni w spoczywającą na odsuniętej płycie grobowca trumnę. Naznaczone piętnem jesieni liście spadały leniwie, poganiane podmuchami wiatru. Pomiędzy drzewami krył się przed narastającymi promieniami słońca siwy smutek.

– Tak zwanego przypadku – podjął po chwili. – Bo właśnie w tym zawarty jest margines na nasze działanie. To impuls nadany przez Stwórcę, wyzwalający naszą aktywność, dający szansę na zmianę podjętych wcześniej planów. I od nas w tym momencie zależy, czy wykorzystamy tę szansę...

– Co ten klecha gada? Wszystko jest dziełem przypadku. Gdzie tu miejsce na wolną wolę? – nie wytrzymał Olaf.

– Uspokój się! – szepnęła Sonia. Ze zdumieniem zauważył, że po jej policzkach toczą się łzy. Nie przypuszczał, że ta śmierć, możliwa przecież do przewidzenia, tak ją poruszy. Wygrzebał z kieszeni chusteczkę. Wzięła ją machinalnie i wzdychając żało-

śnie, jak małe dziecko, podniosła do twarzy.

– Nasz świętej pamięci zmarły potrafił wykorzystywać tę szansę – kontynuował ksiądz. – Całym swoim życiem dowodził wielkiej prawdy jedności naszego ziemskiego życia z tym, co dzieje się tam... – wycelował palcem w powiększający się nad głowami błękit. – Nie przeszkadzało mu to, że był naukowcem, a wręcz przeciwnie, p o m a g a ł o w jego pracy, w jego badaniach. To właśnie on, jak nikt inny dotąd, potrafił połączyć dogmaty wiary z doświadczeniami naukowca.

– Oj, żeby się księżunio nie przeliczył! – wycedził Olaf.

– Odbiło ci? – Ivo wysunął rękę spod ramienia Soni i szturchnął go łokciem w bok. Olaf stwierdził, że on także miał zaczerwienione oczy. „Co mu się, u diabła, stało? Naprawdę mu przykro, czy też nie wypada mu się inaczej zachować przy Soni?”, pomyślał z przekąsem. „Ta Sonia ma na niego zgubny wpływ”.

– A teraz pomódlmy się, aby nasz drogi zmarły trafił do Królestwa Niebieskiego. – Ksiądz zaczął poruszać po cichu wargami, nie narzucając innym sposobu wyrażenia swoich myśli. Zapadła cisza. Nawet wiatr uspokoił się w oczekiwaniu dalszego ciągu ceremonii. Po chwili duchowny przeżegnał się, ujął kropidło i pokropił trumnę.

– W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, amen.

Kropie święconej wody poszybowały także i na zebranych. Pokropiły też kapelusz Eleonory. Nie uczyniła znaku krzyża. Stała, podparta na lasce, ignorując podsunięte przez kogoś krzesło. Jej twarz nie wyrażała nic.

Do grobowca zbliżyli się ubrani na czarno pracownicy przedsiębiorstwa pogrzebowego i rozwinęli parciane pasy. Nie zdążyli jednak wsunąć ich pod trumnę. Z grona żałobników wystąpił niewysoki mężczyzna. Jego prawie łysa, nakrapiana brązowymi plamkami czaszka, jaśniała wypolerowaną powierzchnią.

– Pozwolą państwo, że powiem parę słów – odezwał się zdecydowanie za głośno. Zebranych nie wypadło zaoponować, chociaż niektórzy mieli już chęć pójść do domu i zaspokoić rodzący się głód. Mężczyzna na wszelki wypadek nie czekał na ich reakcję:

– Drogi Erneście. Pozwól, że tak będę się do ciebie zwracał, mimo że oficjalnie nie byliśmy ze sobą po imieniu... – zaczął.

– Popatrzcie, kto by pomyślał, profesor Kloberg! – Olaf wybałuszył oczy. Tym razem Sonia nie miała mu tego za złe, a Ivo dodał złośliwie – Profesor nadzwyczajny!

Profesor Kloberg spojrzał na nich, jakby dotarło do niego to, co powiedzieli. Wyjął z kieszeni kraciatą chustkę i wytarł nią usta.

– Pracowaliśmy razem wiele lat – kontynuował po chwili. – Codziennie mijaliśmy się na korytarzach naszego ukochanego Instytutu, konsultowaliśmy ze sobą programy i zamierzenia naukowe, dyskutowaliśmy o najnowszych trendach w dziedzinie entomologii. Nie zawsze zgadzaliśmy się ze sobą, ale zawsze osiągaliliśmy zadawalające nas i nasz Instytut porozumienie. Jeszcze niedawno miałem to szczęście, że ujrzałem ciebie nad stawem, wpatzonego w błyszczącą w zachodzącym słońcu kępę lilii wodnych, wyrzuconą na brzeg. Byłeś tak spokojny i zatopiony w swoich myślach, że postanowiłem nie podchodzić do ciebie. Zastanawiałem się, co zrobisz. Czy pozwolisz im stopniowo umrzeć bez kropli wilgoci, czy też włożysz je z powrotem do wody? Ty jednak wstałeś i przeszedłeś obojętnie obok nich. Może już wtedy przeczuwałeś, że wkrótce nie będzie ciebie wśród nas...

– Przypomnijcie sobie, co się nam śniło tam, w tej kotlinie – szepnęła Sonia.

Olaf chwycił ją za rękę – No tak, były te lilie i profesor... Co on wtedy z nimi zrobił?

– Jak to co? – wykrzyknął Ivo. – Nie pamiętasz?

Stojący obok ludzie odwrócili głowy. Ivo zniżył głos – On je włożył, on je z powrotem włożył do stawu!

– A..., to był tylko dziwaczny sen. – Olaf lekceważąco wzruszył ramionami.

– ...Żegnamy naszego drogiego kolegę z głębokim smutkiem – dobiegł znowu głos profesora Kloberga. – Świat nauki poniósł dotkliwą stratę. Odszedł wielki człowiek, dociekliwy badacz i wspomniały kolega.

– Myślałby kto, przecież oni tylko się tolerowali. To było widać gołym okiem – warknął Olaf, ale nikt chyba tego nie usłyszał, bo zaczął się ruch, który niejako wymusił na Klobergu zakończenie przemowy. Nie wszyscy do niej dotrwali. Pozostali tylko ci, którzy rzeczywiście chcieli złożyć pani Eleonorze kondolencje, oraz ci, którym obito się o uszy, że Kloberg do czasu wyborów ma pełnić obowiązki dyrektora Instytutu.

Pracownicy przedsiębiorstwa pogrzebowego opuścili trumnę do grobowca, ale nie nasunęli płyty na swoje miejsce. Przykryli go prowizoryczną kratownicą, na której nie dbale ułożyli kwiaty i wieńce.

Eleonora z ledwo widocznym grymasem niezadowolenia poprawiła kilka wiązanek. Po jej prawej stronie stanął profesor Kloberg i do niego siłą rzeczy podchodzili najpierw żałobnicy. Przyjmował kondolencje z godnością, pocierając co jakiś czas zaczerwienione powieki. Eleonora, nadmiernie wyprostowana, mechanicznie podnosiła rękę do pocałowania.

– Profesor czuje się właściwym człowiekiem na właściwym miejscu – zauważył sarkastycznie Olaf. – Nareszcie jest pierwszy.

– Co mówisz? – spytał nieprzytomnie Ivo. Podtrzymał Sonię, która usiłowała wsunąć przez otwór kratownicy purpurową różę.

– Nic. Podejdz do profesora. Teraz twoja kolej.

Róża osunęła się łagodnie na wieko trumny.

– Nie kłóćcie się – poprosiła z wysiłkiem Sonia. Ominęła profesora Kloberga i podeszła do Eleonory, ale ta zakryła ręką jej usta.

– Niepotrzebnie tu przyszedłeś, moje dziecko... – powiedziała, wpijając w nią przenikliwy wzrok. – Mój syn i tak byłby ci wdzięczny.

Sonię przeniknął chłód. Dowlokła się do najbliższego drzewa i wymiotowała.

II

Zapadał wczesny, jesienny wieczór. Przez uchylone okno wpadało rześkie, ale ciepłe jeszcze powietrze. Wiatr poruszał ciężkimi firankami, które opierały się o ciemnobrązową kanapę. Śpiący na jej poduszkach kot, przeciągał się, drapiąc skórzane obicie.

Gasnące światło dnia z trudem wylawiało z wnętrza pokoju poszczególne sprzęty i odbijało się w szkle stojących na komodzie fotografii. Na jednej z nich widać było młodego, ciemnowłosego mężczyznę, obejmującego wpatrzoną w niego dziewczynę. Eleonora wzięła ją i ciężko opadając na fotel, podsunęła pod lampę.

Tak, to było bardzo dawno temu. Ernest skończył studia i dostał swoją pierwszą pracę w starym laboratorium Instytutu Entomologii. Zapowiadał się doskonale. Jako początkujący naukowiec, rozpoczął badania nad teorią przypadku w doborze gatunków owadów oraz wpływu zmieniającego się środowiska. Nie wiele o tym mówił, ale Eleonora swoimi kanałami dowiedziała się, że planował w przyszłości rozszerzyć ją na inne gatunki fauny... może nawet na człowieka?

Ona, jako matka, przechodziła wtedy bardzo trudny okres. Czuła, że Ernest wymyka się jej spod kontroli, mimo

że nadal mieszkali razem. Stał się skryty i jakby nieobecny. Tolerowała to jednak, bo zdawała sobie sprawę, że kariera syna wymagała poświęceń również i z jej strony.

Ernest wychodził z domu z samego rana, w czystej bieliźnie, nakarmiony, zaopatrzony w drugie śniadanie i pieniądze na obiad w stołówce pracowniczej. Wracał późno, nierzadko około północy, ale Eleonora nie miała na to wpływu. Czekwała na niego cierpliwie, z przygotowaną w piecyku ciepłą kolacją.

Gdyby ktoś spytał ją, czy jest szczęśliwa, bez wahania odpowiedziałaby, że tak. Odkąd oficjalnie uznano ją za wdowę, pozostała jej już jedyna rola do spełnienia, rola opiekuńczej matki. Przecież Ernest był jej synem, jej dzieckiem i nic nie było w stanie zmienić tego faktu. Nauki nie traktowała jako swej konkurentki. Wręcz przeciwnie, modliła się, żeby pochłaniała jego uwagę jak najdłużej. Czuła się mocna i nie zagrożona na swoim stanowisku. I było tak, aż do momentu, kiedy pojawiła się ONA...

Eleonora stuknęła polakierowanym paznokciem w twarz młodej dziewczyny na fotografii...

Skąd ona się wzięła? Trudno powiedzieć. Kto ją ściągnął do tego Instytutu? Złośliwi twierdzili, że to sam Ernest, który od dawna ją znał i ukrywał ten fakt przed wszystkimi, nawet przed matką. Eleonora nie wierzyła w to, ale poczuła się boleśnie ugodzona. Jej zranione uczucia i duma kazały jej zamknąć się w sobie i czekać. Nie dała znać po sobie, że wie o tym związku i jak bardzo chciałaby poznać bliżej tę, która tak bezceremonialnie usiłowała zabrać jej dziecko.

Pozornie wszystko funkcjonowało, jak dotychczas. Jej relacje z synem nie zmieniły się. I pewnie trwałoby tak jeszcze długo, gdyby pewnego dnia Ernest nie zjawił się w domu znacznie wcześniej, niż zwykle. Staął w drzwiach, przytrzymując się framugi.

– Dzień dobry, mam – wydukał.

Eleonora, tknięta niedobrym przeczuciem, przyjrzała mu się badawczo. Wyglądał jak uczeń, który zbroił coś w szkole i teraz bał się do tego przyznać.

– Co się stało? Źle się czujesz? – Poglaskała go po zapadniętym policzku.

– Nnie... Mam dużo pracy...

– Dlaczego stoisz? Wejdź.

Nie zrobił tego tak jak zwykle, ale bojaźliwie wsunął się, przygarbiony, ze wzrokiem wbitym w podłogę. Eleonora podprowadziła go do okna i przyłożyła rękę do czoła.

– Pokaż język!... Powiedz: a!

Ernest posłusznie wyciągnął język i wychrypiał – Aaa...

– Temperatury nie ma, ale język obłożony i zaczerwienione gardło. Jesteś przeziębiony – zawyrokowała. – Dośniesz zioła i resztę wieczoru spędzisz w łóżku! Teraz zdejmij buty i umyj się

Popchnęła go lekko, jak zwykła była to robić, kiedy był chłopcem, ale wyczuła opór.

– Coś jeszcze?

– Tak! – Ernest wyprostował się nagle. – Czy mogłabyś przestać traktować mnie jak małe dziecko? Przy tobie nie czuję się mężczyzną!

– Dla mnie zawsze będziesz dzieckiem. Kto ciebie urodził i wychował? Kto dbał o twoje wykształcenie i naukową karierę? Kto ciebie żywił i opierał? Kto... – Wstrzymała spazmatycznie oddech i przyłożyła chusteczkę do oczu.

– Był jeszcze ojciec – zauważył odważnie Ernest.

– Twój ojciec?

– Tak, mój ojciec. O ile wiem, to właśnie on poświęcił życie naszej rodzinie. Dzięki niemu mogliśmy spokojnie funkcjonować i nie martwić się, czy starczy do pierwszego.

Eleonora wzruszyła ramionami.

– Może i tak. Maszynka do robienia pieniędzy. – Wydęła pogardliwie usta. – Pieniądzy rzeczywiście nam nie

brakowało, ale na tym jego rola kończyła się... Zresztą, odszedł wcześniej.

– Umarł.

– Może i umarł. W każdym razie go nie ma... No, koniec tego dobrego. Marsz do łóżka!

Ernest zawahał się.

– Mamo, chciałbym ci jeszcze coś powiedzieć – wybąkał.

Eleonora pokiwała głową:

– Od początku wiem, że coś przede mną ukrywasz.

– To nie jest tak, jak myślisz...

– A jak jest? Przychodzisz nieswój, nie chcesz wejść, udajesz chorego... To samo robiłeś, kiedy byłeś chłopcem i coś przeskrobałeś. A ja, mój drogi, wszystko wiem!

– Czyżby? A to, czy o tym wiesz? – Ernest podszedł do drzwi i wprowadził do środka dziewczynę. Weszła, trzęsąc się z zimna.

– Długo kazałeś mi czekać – powiedziała z wyrzutem.

– Już myślałam, że o mnie zapomniałeś. Czy powiedziałeś jej?

– Nie musi mi nic mówić. – Eleonora znowu wydeła pogardliwie usta. – Pani jest jego kochanką...

– Mamo – przerwał Ernest. – To jest Selena. Spodziewa się dziecka. Zamierzamy się pobrać.

Słowa, które wtedy usłyszała, do dziś dźwięczą jej w uszach. Przez dłuższy czas usiłowała przełknąć tę zniewagę. Jej jedyny syn, którego tak kochała, zdradził ją! Wybrał inną!

Eleonora odłożyła fotografię. Nie wiedziała, dlaczego zachowała ją aż tak długo. Może dlatego, że Ernest tak młodo i tak dobrze na niej wyglądał? Ale teraz to już nie ma

znaczenia. Seleną na szczęście odeszła, zanim zdążyli się pobrać. Biedna, wrażliwa dziewczyna nie wytrzymała napięcia i stresu. I jeszcze to poronienie... Eleonora uśmiechnęła się tajemniczo. Precyzyjnie zagięła i przedarła zdjęcie tak, żeby pozostał na niej tylko Ernest.

Tak... to już historia, ale jej rola matki nie skończyła się, nawet teraz, kiedy jej syna już nie było.

Sięgnęła po teczkę z aktami. Przerzucała z niecierpliwością dokumenty, aż natrafiła na ten, który zdążyła już poznać na pamięć. Przeczytała go uważnie jeszcze raz. Najchętniej podarłaby ten papier i spaliła do ostatniego skraweczka, ale ostatnia wola Ernesta nawet dla niej była święta... Westchnęła i podniosła słuchawkę telefonu.